

Family Time

13 marzec

Są takie dni, że od samego świtu wiesz, że cała reszta doby jest skazana na porażkę. I już nawet nie chodzi o to, że mleko wykopiało, brudząc świeżo umytą kuchenkę (klasyk), albo zauważasz dziurę w rajstopach tuż przed wyjściem z domu (też standard). Mam na myśli takie sytuacje, kiedy słyszysz: "Home office. Od przyszłego tygodnia dla całego działu". Jak łatwo się domyślać taka informacja wprost rewelacyjnie wpłynęła na morale grupy. Wszyscy byli w stu procentach skupieni na nowym projekcie, który miałam zaszczyt prowadzić i nikt nie wyobrażał już sobie, jak leży na sofie i błogo oddaje się marnowaniu czasu z serialami Netflixa. Muszę napisać podziękowania dla znajomej z działu HR, która koncertowo zniweczyła cały mój wysiłek mobilizowania podwładnych tą jedną, prostą wiadomością. Wróciłam do domu zła, wściekła, zmęczona i zniechęcona do wszystkiego, a na dodatek obciążona dwoma ciężkimi torbami z zakupami. Minęło z osiem godzin zanim Olbracht i Aleksander ustalili, kto ma łaskawie podnieść słuchawkę domofonu. Biedni synowie, nie wiedzieli jeszcze, jakie to zmyślne tortury wymyśliła ich matka wspinać się na trzecie piętro. Sprzątanie pokoi, zmywanie, wieszanie prania, a jak pierwszym, co usłyszę, będzie: "Co na obiad?", dołoży się odkurzanie całego mieszkania. Tego ostatniego udało się im uniknąć.

- Rany na ciele? - spytałam, kiedy zaczęli ciekawie rozgrzebywać zakupy.

- Brak!

- Na duchu?

- Też brak!

- Straty w inwentarzu? - jak na razie było całkiem nieźle. Nie usłyszałam jednak entuzjastycznego: "Brak", a zamiast tego zapanowała znacząca cisza.

- No, dobra - nic nie może być po prostu dobrze w dniu takim, jak ten. - Co się strzaskało? - w naszym domu wiele rzeczy robiło się samo: szklanki obtłukiwały, blaty rysowały, a ściany brudziły.

Zapanowała niezręczna cisza. Ale po chwili Aleksander nie wytrzymała napięcia:

- To nie moja wina! To był przypadek!

Olgierd potarł tylko czoło, imitując siebie samego za 20 lat. Po długich i zawitych wyjaśnieniach zrozumiałam, iż synowie moi postanowili, że ze starych zasłon zrobią plakat umacniający tarnogórczan w trudnym czasie pandemii i wywieszą go z okna naszego mieszkania. Nie byłoby w tym nic złego, owszem, jeszcze bym ich pochwaliła, gdyby nie fakt, iż stare nie byłyby ani zasłony, ani moje kosmetyki, którymi je ozdobili. Znając wątpliwy talent plastyczny potomstwa oraz cenę materiału, usiadłam przy stole i ukryłam twarz w dłoniach. Pięknie. Usłyszeliśmy odgłos otwieranych drzwi i do mieszkania wszedł mój mąż.

- Nie uwierzycie, jaką świetną mam dla was wiadomość! - krzyknął od progu.

Podniosłam głowę. Och, może chociaż jemu coś się dziś udało.

- Przechodzę na pracę zdalną!

23 marzec

Ha! Ha! I co?! I kto miał rację?! No oczywiście, że ja, jedyna kobieta w tym domu! Dobrze, nie pozabialiśmy się w ścisłym tego słowa znaczeniu. Ale jak jeszcze raz w trakcie mojego ważnego spotkania Alex przeciąży sieć swoimi gramami komputerowymi, to nie ręczę za siebie. Oczywiście, że kocham moich trzech chłopców i oczywiście, że za nimi tęsknię, jak pojedą gdzieś na dłużej, i oczywiście, że potrafię ścierpieć ich brudne skarpetki porozwlekane po całej łazience, ale litości! Nie 24 godziny na dobę siedem dni w tygodniu. Tym bardziej, że teraz wszyscy są podenerwowani.

- Oddawaj laptopa! Obiecaliście mi, że po południu będzie mój.
- Odczep się! Muszę zrobić projekt. To jest ważniejsze niż jakaś tam gra.
- Obydwoje wyłączyć Internet w tej chwili. Przeciążacie sieć.
- Mamo, obiecałaś, że będę mój pograć.
- Jakbyście z tatą nie instalowali dziesięciu tysięcy niepotrzebnych aplikacji, to by wam lepiej działało.
- Właśnie, skończcie zwalać winę na nas.
- Cicho siedź, ty też masz za dużo gier.

Kłóciłibyśmy się w najlepsze jeszcze długo, gdyby nie przyszedł nasz drogi mąż i ojciec, Kazimierz. Kazimierz ma wrodzone zamiłowanie do ładu i porządku, także - a może zwłaszcza - społecznego. W każdą najtrudniejszą sytuację potrafi wnieść swój spokój, rozsądek i zdolności przywódcze. Strasznie mi się to w nim podoba. Ale teraz miałam ochotę pacnąć go magazynem z drogerii leżącym na krześle, bo w ogóle mnie nie słuchając, kazał wszystkim siadać do stołu.

- Ostatnio w naszym życiu zaszły ogromne zmiany - zaczął, a ja wiedziałam, że szybko to się nie skończy. Miał styl przemawiania jak Thorin Dębowa Tarcza. - Te zmiany mają istotny wpływ na całą naszą rodzinę. Nie możemy jednak pozwolić, żeby wywoływały one w nas zanik ufności i miłości, a co za tym idzie - powodowały sytuacje takie, jak dzisiejsza.

- No iii? Co z tego wynika? - zapytał niecierpliwie Olbracht.

- Nie przerywaj- odpowiedział, nie, raczej: odrzekł Kazimierz. - Proponuję, aby od tej chwili uniezależnić nasze zachowania i emocje od Internetu.

I w tej chwili, jakby na potwierdzenie jego słów, zgasło światło. Przy stole rozległ się jęk zawiedzionych głosów. Już wiedziałam, że projekt nie zostanie skończony. Na pewno nie tego wieczoru.

- No, widzicie? Tak czy inaczej, nie ma prądu. W takim razie możemy sobie zrobić przyjemny, rodzinny wieczór!

- Co?! Nieee- skomentował zblazowany Olbracht, a po chwili zastosował mu Alex.

- Pomożesz mi, Kochanie? - spytał mój mąż, który zapewne już miał cały plan dzisiejszego wieczoru w głowie.

- Mam... – stwierdziłam, próbując powstrzymać złość na naszego dostawcę prądu i usiłując zachować dobrą minę do złej gry - świeczki zapachowe.

- Super, to ja idę po planszówki.

Wbrew oczekiwaniom naprawę dobrze się bawiliśmy. Kazimierz znalazł zapomniane przez wieki gry, ja znalazłam zapomniane (ale nie przez wieki) żelki. I pomyślałam, że w sumie mogliby częściej ten prąd odcinać.

31 marzec

Energia elektryczna wróciła, ale chłopcom tak spodobało się spędzanie wieczorów przy świecach, że zaczęliśmy to robić systematycznie. W gruncie rzeczy było to bardzo romantyczne i nastrojowe. Ale przygotowanie kolacji w nikłym świetle tealightów to trudna sprawa. Bolesnie się o tym przekonałam, wbijając sobie ostrze noża w opuszek palca.

- Mamo, pomożesz mi w zadaniu domowym?

Westchnęłam nie tylko z powodu skaleczonego palca, ale także mojego syna, a raczej jego prośby. Epidemia co prawda ograniczyła możliwości edukacyjne, ale za to wzmożła kreatywność pedagogów.

- No, to co tym razem robimy? – zapytałam, zakładając opatrunek. – Liczymy, ile sznurowadeł można kupić za wielokrotność potęgi nieskończoności, tworzymy makietę Buenos Aires, czy haftujemy pas słucki.

- Nie. Będziecie pisać manifest buntu przeciwko opresyjnemu systemowi - stwierdził Olbracht, który siedział przy stole po kłótni z ojcem swoim reprezentującym rzecz jasna ten opresyjny system.

- Muszę napisać, co oznacza moje imię - oznajmił Alex.

Odetchnęłam. Nie musimy robić ogrodów Semiramidy w pokoju.

- No, to sprawdź sobie w księdze imion.

- Błagam - Olbracht zaczął się aż zwijać z zażenowania. - Młody, mamy XXI wiek i Internet.

- Mamo, ale czemu nazywam się Aleksander? – zapytał mój młodszy syn.

- Bo tata stwierdził, że skoro on jest Kazimierzem, a ja Elżbietą, to nasi synowie muszą kontynuować jagiellońską tradycję.

- To ja mam imię po królu?! - Alex aż podskoczył na krześle.

- Dokładnie – odpowiedziałam, ciesząc się jego entuzjazmem.

- Aleksandrze Macedońskim?!

Ja i Olbracht spojrzeliśmy na młodego, potem na siebie, potem jeszcze raz na młodego. Brat nieszczęśnika wybuchnął szyderczym śmiechem. Prawie spadł z krzesła na podłogę.

- Po Aleksandrze z dynastii Jagiellonów, królu polskim i wielkim księciu litewskim.

- Aaa, no dobra- stwierdził niezrażony Alex.

- Dobrze, że nie nazywacie się Jan i Maria. Z dwojga złego lepsi Jagiellonowie niż elekcyjni - zauważył Olbracht.

- Jej - rzucił jego brat, który tym razem zrozumiał kontekst. - Moglibyście iść razem w pochodzie na Gwarkach!

- Oni już byli razem na Gwarkach, łosiu - zirytował się Olbracht, a ja rzuciłam mu karcące spojrzenie.

- Tak, wtedy się poznaliśmy - zaczęłam opowiadać. - Nasze licea szły w pochodzie. Ja miałam suknię dwórki, a twój tata dostał strój dworzanina. Narzekał, że wolałbym coś bardziej rycerskiego. Wtedy do niego podeszłam i powiedziałam, żeby się nie przejmował, bo wygląda bardzo dobrze. Wasz tata trochę się zmieszał, ale zaczęliśmy rozmawiać i skończyło się na tym, że cały pochód spacerowaliśmy koło siebie, a on opowiadał mi o renesansowym uzbrojeniu. Potem poszliśmy na kawę.

- W tych strojach? - przerwał mi Alex.

- Człowieku, idź poszukać resztek rozumu, które zgubiłeś w piaskownicy - odpowiedział mu Olbracht. - Kto normalny tak chodzi po mieście.

- A kto ci powiedział, że twoja rodzina jest normalna? - zapytałam i spojrzałam na niego znacząco.

Mój syn na chwilę zamilkł niedowierzając.

- Potem umówiliśmy się na jedno spotkanie, później na drugie i tak już zostało - dokończyłam, a miny moich synów nie wyrażały jakiejś wielkiej aprobaty. - No co? Też byście sobie kogoś znaleźli, jakbyście wyszli znad książek i komputerów.

- Przypominam ci, że w tym roku jest pandemia - stwierdził cynicznie Olbracht. - Nie ma Gwarków, nie ma problemu.

Przybili sobie z Alexem piątkę i wrócili do swoich pokojów.

12 kwiecień

Nadchodziła Wielkanoc. Mimo że taka trochę pandemiczna, to jednak pozostała najważniejszym świętem roku i trzeba się było do niej dobrze przygotować.

- Pokoje posprzątane? - jako bezwzględna matka musiałam o to spytać.

- Bo co? Zajączek nie trafi? - miłość Olbrachta do sarkazmu rosła z każdym dniem.

- Trafi bez problemu. Rano znajdziesz koło łóżka zestaw ścierek do kurzu.

- Ja już prawie skończyłem - powiedział mój młodszy syn. - Będę mógł pomalować pisanki?

- Jasne - rzuciłam, ale zaraz dodałam. - Tylko, Alex, bez żadnego rysowania wirusów.

Chłopak wyszczerzył się i uciekł dokańczając porządki. I tak wiedziałam, że wykombinuje coś kreatywnie szokującego.

- To co, gdzie idziemy do kościoła w święta? - spytał Kazimierz, wchodząc do pokoju.

- Hmm, niech pomyślę... Przed telewizor? - stwierdził Olbracht.

- Skąd oglądamy transmisję, bystrzaku - doprecyzował jego ojciec i swoją władczą prawicą zmierzwił mu całkiem już długą czuprynę. - Jak się to wszystko skończy, to obetniemy się na łyso, co? - rzucił.

- No to może dominikanie z Wrocławia? Oni mają zawsze świetne śpiewy - zaproponowałam.

- Dobry pomysł - stwierdził Kazimierz. - Albo z Krakowa. Zawsze chcieliśmy tam pojechać na święta.

- No jasne - rzucił Olbracht. - Może w ogóle Rzym. Po co się ograniczać?

Spojrzeliliśmy z moim mężem na siebie, a później na naszego syna.

- No, co? - zdziwił się. - Już nic nie można powiedzieć?

Mieliśmy jeszcze odwiedzić Babcię z Pniowca. Babcia z Pniowca nie jest babcią sensu stricto. Jest kuzynką matki mojego męża, ale mamy z nią tak dobry kontakt, że "zawnuczyla" nasze dzieci. W tym roku, spodziewając się tradycyjnego najazdu krewnych, do ostatniego tygodnia mając nadzieję na zniesienie obostrzeń, zrobiła duże zapasy żywności. Z jej opisów wynikało, że ma całą lodówkę pełną śląskich rolad i surówek. Już nie mówiąc o szafkach w spiżarni, uginających się pod ciężarem mazurków, babek oraz baranków z ciasta. Zadzwoiła do nas w czwartek wieczorem i stwierdziła, że musimy ją uratować, bo przecież tyle dobra nie może się zmarnować. Ochocho przystaliśmy na zaproponowane rozwiązanie. Nie tylko dlatego, iż dzięki temu cieszylibyśmy się wybornym jedzonkiem przez całe święta. Każdy powód był dobry, żeby po tak długim czasie kwarantanny chociaż zobaczyć się przez okno. Nasi kreatywni synowie przygotowali transparent, na którym wielkimi literami napisali "Wirus nie zwycięży nas, przyjdzie znów normalny czas" oraz drobne, ręcznie zrobione upominki dla Dziadków. Strefą buforową stała się weranda, gdzie zostawiliśmy nasze prezenty i skąd wzięliśmy świąteczne wiktuały. Wszystko szło dobrze do momentu, kiedy nie przenieśliśmy tych wszystkich pudełek oraz pojemniczków do mieszkania. Stwierdziliśmy w niewczesnej refleksji, że nasza lodówka chyba ich wszystkich nie pomieści. I tak właśnie spędziliśmy Wielkanoc w Rzymie, w otoczeniu pisanek z maseczkami, ciesząc się górą pysznego jedzenia.

20 kwiecień

Wszyscy moi mężczyźni – ach, pięknie to brzmi – wybuchli dzikimi okrzykami radości. Ostatnio tak się cieszyli, jak pojechali na maraton Rambo. Powód był prosty: pozwolono na spacer po lesie.

Pozostawała jeszcze kwestia maseczek. Mój starszy syn zapytał mnie kilka dni wcześniej, czy można jakoś zdezynfekować te jednorazowe. Odpowiedziałam, że można, ale nie daje to spodziewanego efektu. Stwierdziłam, że po to w nazwie jest słowo "jednorazowa", by zaznaczyć, że nie powinno się jej częściej używać. Wtedy zafrasowany Olbracht zaznajomił mnie z całym szeregiem liczb. Była to kwota, jaką będziemy musieli zapłacić miesięcznie za luksus wychodzenia na dwór w maseczkach jednorazowych.

- Ale wiesz Kochanie, że zawsze można korzystać z tych materiałowych? - spytałam, a mój pierwotny nieoczekiwany przyznał mi rację.

- Jednak masz czasem dobre pomysły, mamó - oznajmił.

- Moje pomysły często są dobre - odpowiedziałam władczo. - Szkoda tylko, że potrzeba aż pandemii, żebyś to dostrzegł.

Wieczorem zasiadłam do wiekowego Singera odziedziczonego jeszcze po babci. Wieść gminna niosła, że na maseczki najlepiej nadaje się niepotrzebna pościel. Pocięłam ją na odpowiednie kawałki, przygotowałam kawałki gumki i rozpoczęłam pracę. Pierwsze trzy maseczki faktycznie nie reprezentowały się najlepiej, ale kolejne były już coraz lepsze. Kiedy skończyłam, na krześle leżało z dobrych kilkadziesiąt sztuk.

- Co my z tym zrobimy? - zapytał Alex następnego dnia.

- Nie wiem. Będziemy mieć po dwie na każdy dzień tygodnia - stwierdziłam.

- Ponoć Rękodzielne Tarnogórzanki zbierają gotowe maseczki - powiedział Kazimierz. - Potem rozdają je mieszkańcom. Możemy im dać cześć naszych.

- No widzisz - odpowiedziałam synowi. - Już się wyjaśniło. Olbracht! Zbieraj się, bo wychodzimy! - krzyknęłam.

Chłopak wszedł do pokoju i od razu zwrócił uwagę na mały stosik leżący na krześle.

- Co to jest? - spytał łamiącym się głosem.

- Yyy... maseczki?

- No przecież widzę, że maseczki - teraz już nie mówił, tylko grzmiał. - Dlaczego, ja się pytam, one są zdobione z mojej pościeli!?

Spojrzałam w stronę maszyny do szycia.

- Ale, Olbracht, ta poszewka była już strasznie stara i miała z pięć dziur - stwierdziłam zaskoczona jego reakcją.

- No i co z tego?! To była moja ulubiona - krzyknął i trzasnął drzwiami do swojego pokoju.

Pomyśleliśmy, że się na nas po prostu obraził, więc wyszliśmy bez niego. Chłopak dogonił nas, zanim jeszcze dotarliśmy do lasu. Prawie krzyknęłam, kiedy stanął obok mnie. Na głowie miał maskę przeciwgazową.

- Skąd ty to wzięłeś?! - zawołałam.

- No cóż, zdobyłem - stwierdził najspokojniej w świecie mój syn. - Nosiłbym pewnie normalną maseczkę, gdyby KTOŚ nie zrobił jej z mojej pościeli - dodał.

- Kupił ją kiedyś na Allegro! - pospieszył z odpowiedzią Alex.

Chłopcy pobiegli przodem, a ja po prostu patrzyłam na nich stojąc w miejscu. Nie dość, że wszyscy sąsiedzi stali się świadkami ich popisów kreatywności dawanych podczas kwarantanny, to jeszcze będą straszyć ludzi w lesie.

- Nie martw się - Kazimierz roześmiał się i położył mi dłoń na ramieniu. - Zawsze mógł zainwestować w bagnet.

4 maj

Dzisiaj na klatce schodowej spotkałam panią Marysię. Moja sąsiadka nieustannie wywołuje u nie zachwyty i wyrzuty sumienia. Jednocześnie. Ma dwa razy tyle lat, co ja, a pokonuje schody dwa razy szybciej. Gdyby w naszej kamienicy zorganizować wyścigi sprinterskie, z pewnością stanęłaby na podium i nawet moi chłopcy z pokorą włożyliby na jej głowę zasłużony wieniec laurowy.

- Bydzie kiedyś koniec tego pieroństwa?

Darzę dużą sympatią gwarę śląską, ale nie potrafię się nią posługiwać. Nie pochodzę ze Śląska, co moi sąsiedzi w lot zauważają w rozmowie. Na przykład teraz. Nie za bardzo widziałam, co mam powiedzieć, więc tylko pokiwałam przyjaźnie głową. Pani Maria dalej stała i wpatrywała się we mnie. Czyli to chyba jednak pytanie. Było mi bardzo głupio, ale w końcu poprosiłam, żeby powtórzyła.

- Bydzie kiedyś koniec... - zaczęła, tylko wolniej i wyraźniej niż za pierwszym razem. - A, bo ja ciongle zapominam, że pani ni jest nosza. Bestoż nic nie rozumiesz, cera – zawołała.

Starsza pani stała na schodach i śmiała się, a ja śmiałam się z nią, kompletnie nie wiedząc z czego.

- Tyś je fest gryfno dziołcha, wiesz? - i to już musiało być pytanie retoryczne. - A synki w doma?

- Tak, chociaż teraz całymi dniami chodziliby po lesie.

- A tokie to som rojbry mołe, ale fest fajne - stwierdziła sąsiadka. - No, ni byda cie już na słodach czymać. Do widzenia - pożegnała się.

- Do widzenia - odpowiedziałam i już bez dalszych niespodzianek dotarłam do swoich drzwi.

Weszłam do mieszkania i od razu, no tak, zaraz po umyciu rąk, rozpoczęłam poszukiwanie słownika polsko-śląskiego. Kazimierz zrobił go specjalnie dla mnie i podarował w drugą rocznicę ślubu, kiedy postanowiliśmy wrócić do Tarnowskich Gór. Od tego czasu książeczka nie raz mi się przydała. Sprawdziłam szybko słowo "rojber". Już miałam odkładać słownik, gdy usłyszałam za sobą głos Olbrachta.

- Ha, ha. Znowu jakieś problemy komunikacyjne - stwierdził tryumfalnie. - Widzisz, mamu, jakbyś się w końcu nauczyła gwary, to byłoby po kłopotach - wzruszył ramionami.

- Co ja słyszę - do pokoju wszedł Kazimierz, a tuż za nim przydreptał Aleksander. - Będziesz uczyć mamę śląskiego? Ale Ela, wiesz co, bardzo, bardzo prosimy...

- O co?

- Zrób nam mądrą kapustę - powiedzieli chórem i wybuchli śmiechem.

Zaprzeczyłam głową. Jak widać, zawsze będzie ich śmieszyć ten dawny incydent. Kiedyś usłyszałam, jak jakaś kobieta na targu mówiła o kapuście. Nie miała dobrej dykcji, a ja nie znałam gwary. Kiedy przyszedłam do domu, zaintrygowana zapytałam Kazimierza, o co chodzi z tą "mądrą kapustą". I to był błąd. Czekałam z pół godziny, aż przestanie się śmiać. W końcu wyjaśnił, że ten zagadkowy przymiotnik to "modra", ale anegdota została w rodzinie. Pewnie przejdzie do pamięci potomnych.

- No bardzo zabawne. Tacy z was wielcy Ślązacy, a o Korfantym wiecie pewnie tylko tyle, że istniał – stwierdziłam rzeczowo. - Koniec tego dobrego. Idę robić obiad.

- Mądra... - już chciał zapytać Olbracht.

- Dla ciebie co najwyżej wodzionkę - rzuciłam szybko i wyszłam do kuchni.

15 maj

Zamknęłam laptop z wyjątkowym poczuciem zadowolenia i dobrze spełnionego obowiązku. Praca zdalna ma jednak swoje plusy. Od czasu do czasu. Dzisiaj akurat tak. Była godzina 14:38, a ja miałam już wolne popołudnie. Kazimierz wziął chłopców na całodniową wycieczkę rowerową po lesie, więc moje "wolne" nabierało dodatkowego, rozkosznego znaczenia. Postanowiłam zrobić sobie kawę i spróbować, jak wyszło upieczone wczoraj ciasto. Usiądę sobie z tymi dobrociami i książką w fotelu. Kiedy już prawie osiągnęłam ten stan, zadzwonił telefon. Byłam w naprawdę dobrym humorze i chyba to uspiło moją czujność. Nawet nie przyjrzałam się specjalnie ekranowi, tylko odebrałam połączenie.

- Halo, halo Elżunia - zabrzmiało w słuchawce, a ja już widziałam, że popełniłam wielki błąd.
- Kochana muszę ci powiedzieć, co to się podziało - zapiszczał damki głos należący do Julci. Julcia byłam moją znajomą z pracy. Chociaż jej dział był najdalej wysuniętym miejscem od mojego, z niewiadomych przyczyn wybrała sobie właśnie mnie na powierniczkę swych apokaliptycznych wizji i najdramatyczniejszych przypuszczeń.

- Czy ty widziałaś te krzywe zachorowań!? Moja droga, czy ty je widziałaś - rozpoczęła swój monolog. - To jest po prostu jakiś dramat, jakaś tragedia. No po prostu brak słów. Ja to już nawet buty dezynfekuję! Szerzy się to i szerzy jak czarna śmierć. To jest po prostu powrót do średniowiecza - paplała i paplała.

Wiedziałam, że nie przebiję się przez niekończący się potok słów, więc tylko biernie słuchałam. Kiedy zaczęła mi mówić o starożytnych przepowiedniach dotyczących trzeciej dekady naszego stulecia, nie wytrzymałam.

- Hej, hej, hej. Bez przesady - wtrąciłam się w monolog. - To jeszcze nie koniec świata. Może nie jest najlepiej, ale w historii zdarzały się gorsze przypadki. Myślę, że dobrze by...

- Ale moja droga - Julcia nie lubiła, kiedy się jej wychodziło w słowo. - To dopiero początek! Zobaczysz, za niedługo zaczną zamykać miasta. Dzisiaj rano w piekarni na Piłsudskiego nie mieli chleba.

- Pewnie czekali na kolejną dostawę - przewróciłam oczami.

- Nie, nie, to z pewnością preludium do dramatu - piszczała moja rozmówczyni.

- Wiesz co, Julia? Zdradzę ci pewien sekret - zaczęłam konspiracyjnym szeptem. - Moja znajoma ma kuzyna, którego żona dowiedziała się z pewnego źródła, że niezawodnym lekiem jest... - w tym momencie zrobiłam dramatyczną pauzę. - Duża ilość kawy połączona z gorzką czekoladą. To podobno dobrze robi na odporność.

Julia zamilkła wyraźnie zainteresowana, więc ciągnęłam dalej.

- Acha, jeszcze jedna ważna sprawa. Trzeba, jak to tylko możliwe, unikać rozmów telefonicznych. Ponoć to obniża odporność komórek naszych organizmów – dodałam szybko.

Ta ostatnia uwaga ostatecznie przekonała moją znajomą, że już najwyższy czas zakończyć tę przemiłą pogawędkę. Stwierdziła, że było jej bardzo miło, ale niestety ma jeszcze tyle

na głowie, że musi pędzić do swoich obowiązków. Nie czułam się bynajmniej urażona. Odłożyłam telefon i oddałam się zaleconym przed chwilą działaniom profilaktycznym.

30 maj

Siedzieliśmy z moim mężem na balkonie. Nad Tarnowskimi Górami zaczął rozciągać się zmrok. Co jakiś czas słychać było okrzyki radości, wspólne śpiewy, ktoś nawet odpalił sztuczne ognie. Pandemia się skończyła. A przynajmniej skończyła się kwarantanna.

- Wiesz, co mi to przypomina? - zapytał Kazimierz, a ja zaprzeczyłam głową. - Tę scenę z Dżumy, kiedy wszyscy cieszyli się pokonaniem choroby. A tak naprawdę tylko Rieux, wiedział, że to wcale nie koniec.

Westchnęłam i chwyciłam jego dłoń.

- Kochanie, czytanie egzystencjalistów podczas kwarantanny to chyba nie najlepszy pomysł?

- No fakt. Ale ja zawsze miałem dramatyczne zacięcie - spojrzał na mnie i smutno się uśmiechnął.

- Coś się stało? - zapytałam, głaszcząc go po policzku.

- Nasz kolega z pracy zachorował - stwierdził cicho, a mnie aż zamurowało.

W sumie nie było się czemu dziwić. Przecież codziennie wykrywano nowe przypadki. Mimo wszystko człowiek zawsze myśli, że akurat jego to ominie, a później jest zaskoczony.

- Nie miałem z nim bezpośredniego kontaktu, ale cały oddział odesłali do domów. Najwcześniej jutro okaże się, czy mamy wszyscy kwarantannę - kontynuował Kazimierz. - Przepraszam, gdybym wiedział wcześniej, nie narażałbym was.

- Hej, popatrz na mnie - powiedziałam spokojnie, chociaż też powoli zaczęły do mnie docierać jego słowa. - Nikt nie mógł wiedzieć. Poza tym, zarazić można się wszędzie.

- Jeśli się okaże, że Mateusz nas pozarażał, to... - urwał i potarł dłonią czoło.

- To damy radę. Tak jak zawsze dawaliśmy - mocniej ścisnęłam dłoń męża i uśmiechnęłam się do niego. - Po prostu przeżyjemy niesamowite czternaście dni we własnym mieszkaniu i tyle. Na razie nie ma się co martwić.

Pokiwał głową i też się uśmiechnął.

- Ależ ja mam mądrą kobietę przy boku - stwierdził.

Już chciał mnie pocałować, kiedy z mieszkania rozległ się donośny huk tłuczonego szkła. W normalnych warunkach zerwalibyśmy się, by nakrzyczeć na mniej lub bardziej skruszonych winowajców. Jednak teraz po prostu zaczęliśmy się śmiać.

- Cóż, pora wrócić do klasycznych problemów - stwierdził Kazimierz. - Chodźmy wymierzyć sprawiedliwość.

1 czerwiec

Tego dnia wszyscy chodzili podenerwowani i jakoś nikt nie miał specjalnej ochoty na rozmowy. Dzieci zamknęły się w swoich pokojach. Olbracht słuchał o różnicach między

Konradem a Kordianem poprzez facebookową transmisję. Natomiast Alex rozwiązywał zadania matematyczne za pomocą Microsoft Office. Ich szkoły zdumiewająco szybko przestawiły się na nauczanie zdalne, a wyszło im to tak dobrze, że obawialiśmy się, iż taki stan rzeczy może pozostać już na zawsze. Kazimierz pracował w naszej sypialni, co jakiś czas spoglądając na telefon. On przynajmniej miał co robić. Ja miesiąc temu poprosiłam o wolny dzień w tym terminie.

- Co robisz? - Moje rozważania przerwał głos Olbrachta.

- Kończę ozdabiać tort - stwierdziłam trochę zirytowana faktem, że chłopak stoi dwa kroki ode mnie i zadaje tak idiotyczne pytanie.

- Uhm. Martwisz się? - zapytał.

- Nie no, co ty. Przecież to wszystko to nasz chleb powszedni. Kto by się tam martwił jakimś oddziałem zakaźnym - stwierdziłam ironicznie. - Nie podjadaj – dodałam, widząc palec Olbrachta w miseczce z kremem.

- Pierwsze primo, nie podjadam, tylko pomagam ci w czyszczeniu tego - wskazał na naczynie.

- Drugie primo: nie zamkną nas w szpitalu. Oni by tego psychicznie nie wytrzymali.

- A trzecie?

- Co?

- Gdzie trzecie primo? Jak już popełniasz takie błędy językowe, to chociaż rób to z klasą i do końca – powiedziałam, przenosząc paterę z tortem na stół.

- No bardzo śmieszne. Chodziło mi o to, że nikt nie wytrzyma nas czworo zamkniętych w jednym obiekcie na tak długi czas. Ty mamო wykończysz ich swoją ironią, tata opowieściami o historii miasta, a Alex naiwnym optymizmem - wyznał mi nasz domowy sceptyk.

- Co ja? - zapytał jego brat, wpadając do kuchni. - Z resztą nie ważne. Kiedy jemy tort?

Nie zdążyłam mu odpowiedzieć, bo z sypialni dotarł do nas potężny ryk. Kazimierz nigdy nie podnosił głosu, a jeśli to robił, to w naprawdę wyjątkowych sytuacjach. Ostatnio krzyczał, kiedy się dowiedział, że Tarnowskie Góry dołączą do UNESCO. Usłyszeliśmy donośny śmiech i po chwili zobaczyliśmy samego Kazimierza, jak szercząc się wchodzi do pomieszczenia. Chłopcy także zaczęli krzyzczeć i wiwatować. Patrzyłam na to wszystko sama nie mogąc się powstrzymać od śmiechu. Usiedliśmy razem przy stole.

- Wiecie co, muszę wam coś powiedzieć - stwierdziłam, a oni, nie wiedząc czemu, nagle zamarli.

- Ty masz koronawirusa?! - wypalił Alex.

- Nie - zaczęłam zaprzeczać, ale pozostali wpadli mi w słowo.

- Straciłaś pracę?

- Jesteś w ciąży!

- Nie i nie - odpowiedziałam im kolejno. - Chciałam tylko powiedzieć, że was po prostu kocham.

